

Tylko zdaleka!

I.

Słoneczny ranek. Zapach świerków. Ze wzgórz powiewa lekki wiatr. Słodki, chłodny zefirek. Błękit nieba czysty i promienny. Cisza wokoło. Wielka symfonia wszechbytu

— Co za poranek... cudowny majowy poranek... Odczuwasz go?

— I dama u naszego boku...

— Której nie znamy...

— Kobieta... Tak....

Zamilkli. Obaj mężczyźni weszbranymi piersiami wchłaniali wiosnę, myśląc o kobiecie, której nie ma... której nigdy nie było... której nigdy nie będzie...

— Tylko tęsknota za nią. Tylko tęsknota....

Zapach świeżej trawy wionął im w twarz. Kamienne kostki peronu błyszcząły jak tafla lustrzana w promieniach słońca. Dzwonek sygnałowy rozległ się. Z oddali widać już było dym zbliżającego się pociągu.

— Nigdy bowiem nie jest dobra, ta, którą znaleźli... Tak, proszę cię, nigdy ta nie jest dobra... właściwa... Wiesz, że mieszkam tu na wsi sam, sam jeden... bez kobiety... bez miłości... Bo po co? Co w niej widzimy pięknego i dobrego, to wytwór naszej fantazji jedynie... Mam dosyć kobiety... Trzeba się jej tylko zdaleka przyglądać... tylko zdaleka...

Słychać już było turkot pociągu.

— Ale na to trzeba, rzecz naturalna, zestarzeć się nieco. Wy, młodzi, nie możecie tego zrozumieć. Ale gdy wytrzeźwiejecie... Kiedy znów przyjedziesz?

— Może w jesieni....

Pożegnali się.

Pociąg ruszył.

II.

Nie mógł się jej napatrzeć. Jego spragniony, ognisty wzrok przywarł do kobiety. Nigdy jeszcze nie doznawał takiego silnego uczucia tęsknoty. Co to jest? Skąd takie pragnienie? Owładnięto nim całkowicie... Dostał zawrotu głowy... Serce biło głośno... Ani na chwilę nie odwracał oczu od kobiety.

Na trzeciej stacji zostali sami

Sięgnął po paronnicę:

— Pani pozwoli?

Kobieta podniosła nań wzrok:

— Proszę.

Zapalił papierosa. Przedział w jednej chwili napelniał się dymem.

— Może otworzyć okno?

— Mnie wszystko jedno...

Nic zachęcającego w tej odpowiedzi. — Przebił w niej nawet pewien odcień nudy i obojętności

Spuścił okno. Świeży wiatr owiał kobietę. Musnął jasne loki.

— Jeżeli pani sobie życzy... mogę jej ustąpić moje miejsce... Tu będzie prawdopodobnie zaciszniej...

— Nie, dziękuję...

Odmowa podnieciła go jeszcze bardziej. Wpadł w gniew. Tak pragnął zobaczyć ją, wstającą ze swego miejsca i siadającą po przeciwnej stronie!

Ciekawy był jej postaci... jej ruchów... Z nienawiścią patrzył na pleś, przykrywając jej nogi i kolana.

— Czy pani zimno?

Kobieta, przerażona, zadrżała i jakby chcąc się uchronić od jego natarczywości otuliła nogi pleśdem jeszcze szczelniej.

— Pewnie jest bardzo lekko ubrana — zauważył w duchu.

— Musi mieć ładne nogi — snuł dalej swe myśli — zaokrąglenie kolan je zdradza... najdoskonalsza symetria... Ach, mój Boże... gdybym mógł je zobaczyć choć do kostek... na jedną sekundę tylko...

— Czy pani jedzie do Budapesztu?

— Nie.

— Przepraszam... jeżeli się pani naprzykrzam... za nic na świecie nie chciałbym się jej naprzykrzać...

— Pan mi się wcale nie naprzykrza... Może pan jedzie do Budapesztu?

— Tak... Nazywam się Daniel Forgacz, malarz.

Podali sobie ręce.

— W takim razie pan się przesiada w Szolnok....

— Tak. A pani?

— Ja jadę dalej....

— Szkoda. Jakby to było przyjemnie razem do Budapesztu....

I spragnionym wzrokiem szukał jej spojrzenia. Zajrzeli sobie w oczy.

W jednej chwili zaszła w kobiecie jakaś dziwna przemiana.

Przyjazny uśmiech rozjaśnił jej twarz. Przymus znikł zupełnie.

Nie mógł zrozumieć tego nagłego przestoczenia.

Wogóle jakaś tajemnica unosiła się wokoło jej postaci... nieprzenikniona zagadka...

III.

Na piątej stacji już pocałował ją w rękę. Ciepła kobieca rączka oddała mu uścisk.

— Nigdy się już nie zobaczymy...

— Niech pani tego nie mówi... Obraża mnie pani, tak o mnie sądząc... Nie szukałem przygody... Przysięgam...

Roześmiała się.

— Po co przysięgać? To zupełnie niepotrzebne. Niech pan się uspokoi. Ja rada jestem z przygody. W Szolnok rozstaniemy się... i nigdy więcej....

— Towarzyszę pani dalej.

— Nie! Dokąd? Za nic na świecie!

— Jadę z panią dalej!

— Ale ja nie chcę!

— Nie może mi pani zabronić....

Spojrzała nań przerażonym wzrokiem. Zbladła jak płótno.

— Ja sobie tego nie życzę. Czy pan mnie rozumie? Ja nie chcę! Poprzestałmy na wspomnieniu w jego obecnym stadjum... Nasze drogi rozchodzą się... Jeżeli pan pragnie abym zachowała go w życzliwej pamięci... pan wysiądzie w Szolnok... Ja proszę... błagam... niech pan wysiądzie w Szolnok ...

IV.

Pałace promienie jesiennego słońca zalewały dzikiem winem obrośniętą werandę, snując się po czerwieni i złocie liści.

Dwaj mężczyźni siedzieli pałac cygara pod różnobarwnym baldachimem. Cierpki zapach przekwitów przenikał powietrze.

— No, i?

— Przedewszystkiem nie wysiadłem w Szolnok. Ciekawość mnie paliła, kto jest ta kobieta, jaka tajemnica ją otacza, dlaczego nie chce, bym jej towarzyszył? Zaczęła się denerwować... Chwyciłem jej rękę... Pocałowałem ją... I wówczas...

— I wówczas co?

— Pleś zsunął się z kolan i lodowate zimno przejęło mnie nawskroś. Nieszczęśliwa kobieta miała protezy...

Drugiego mężczyznę nie zaskoczył taki obrót rzeczy. Spokojnie palił cygaro.

— Co dalej?

— Koniec! Wysiadłem na następnej stacji i pojechałem wstecz do Budapesztu... A tak pięknie się zaczęło!

Drugi zrobił przeczący ruch ręką.

— Wszystko jedno. Powinieneś był wysiąść w Szolnok, gdyby nawet miała nogi Afrodyty... We wszystkich naszych planach na drodze życia jest taka stacja, na której trzeba koniecznie wysiąść. Nie w tem sedno sprawy, że kobieta była w danym wypadku kaleką. Każda kobieta jest nią... po drugiej stronie Szolnoku. Wierź mi.

Strząsnawszy popiół z cygara, dodał:

— Trzeba je tylko zdaleka obserwować... tylko zdaleka...

Tłum. Jotsaw.

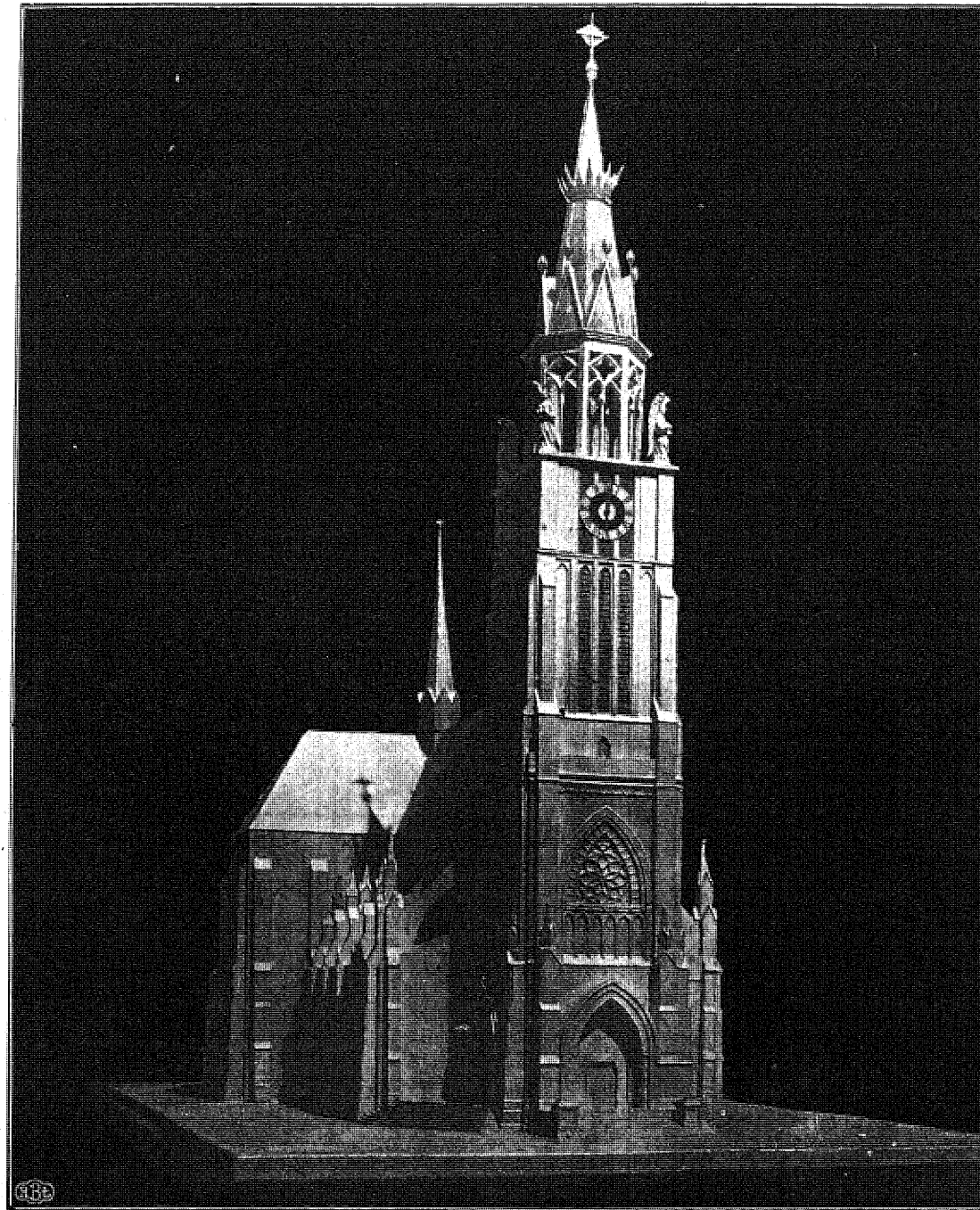


DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok III.

ŁÓDŹ, dnia 19 września 1926 roku.

Nr. 38.

Bogu na chwałę!

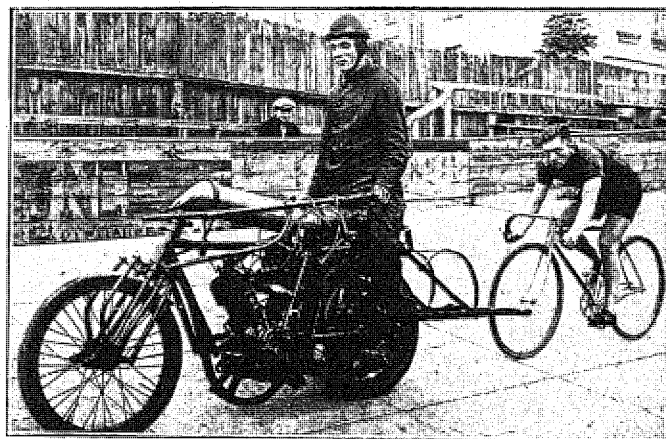
Projekt nadbudowy wieży katedralnej, opracowany przez architekta Kabana. Robota zapoczątkowana już od dwóch tygodni, dzięki niestrudzonym zabiegom ks. kan. Szaniawskiego, który z ramienia J. E. księdza biskupa Tymienieckiego łącznie z Komitetem podjął akcję nadbudowy.

W uroczym zakątku Oliwy.

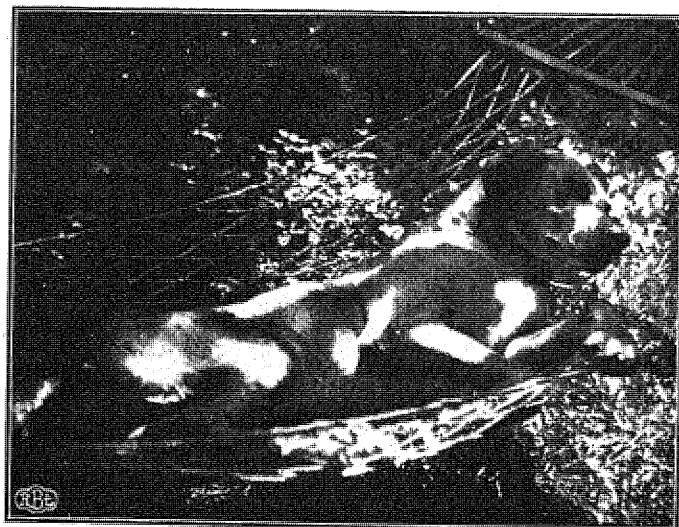


Łodzianie, członkowie L. M. Rz., na wycieczce nad Bałtykiem.

Szmidt,



kolarski mistrz Łodzi z Hoffmanem, znakomitym trenerem niemieckim (Berlin) zaangażowanym przez S. S. „Union” na torze w Helenowie



I „Bobuś” używa dobrodziejstw ostatnich ciepłych dni

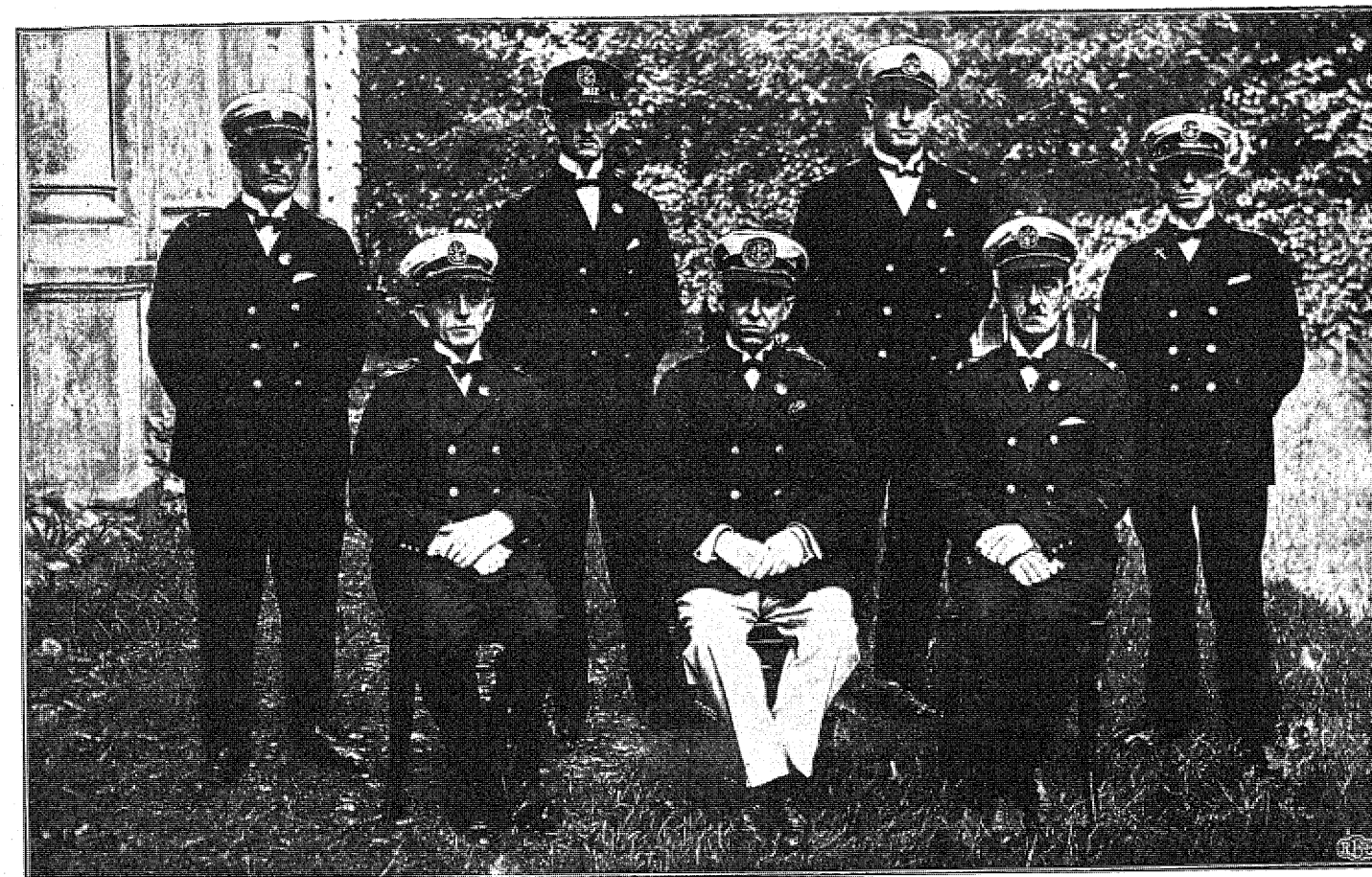
Ze Zjazdu Młodzieży Wiejskiej.



W końcu sierpnia odbył się w Piotrkowie imponujący Zjazd Młodzieży Wiejskiej przy udziale licznych hufców z całego województwa. Na fot. czoło pochodu uczestników Zjazdu przez miasto.



Z Ligi Morskiej i Recznej.



Grupa oficerów plutonu marynarskiego L. M. i Rz. w Łodzi z dowódcą p. inż. Krzyżanowskim pośrodku.



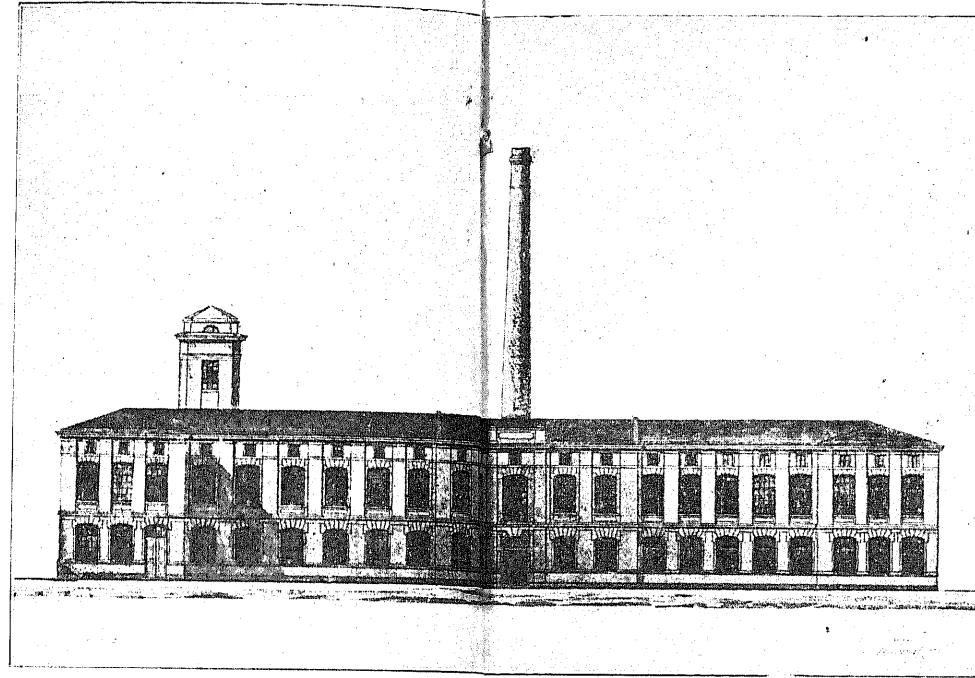
Uczestnicy wycieczki nad polskie morze, zorganizowanej w ubiegłym miesiącu przez oddział łódzki L. M. i Rz., w chłodnych nurtach morskich.



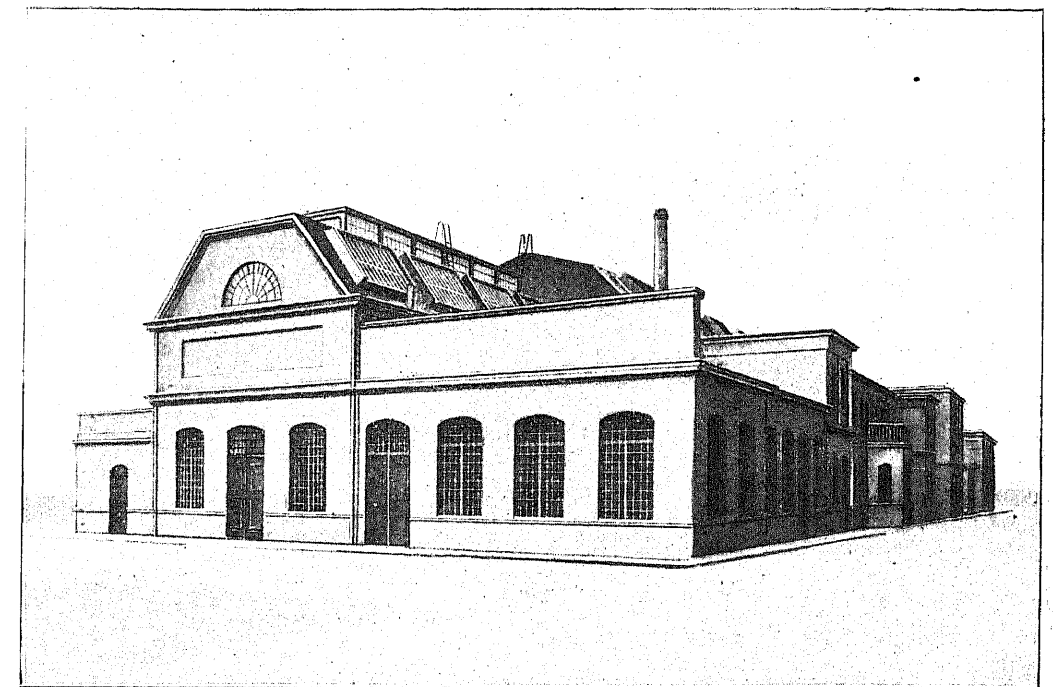
Siedmioletnie Państwowe Szkoły Włókienniczej w Łodzi
(1919/20-1925/26.)



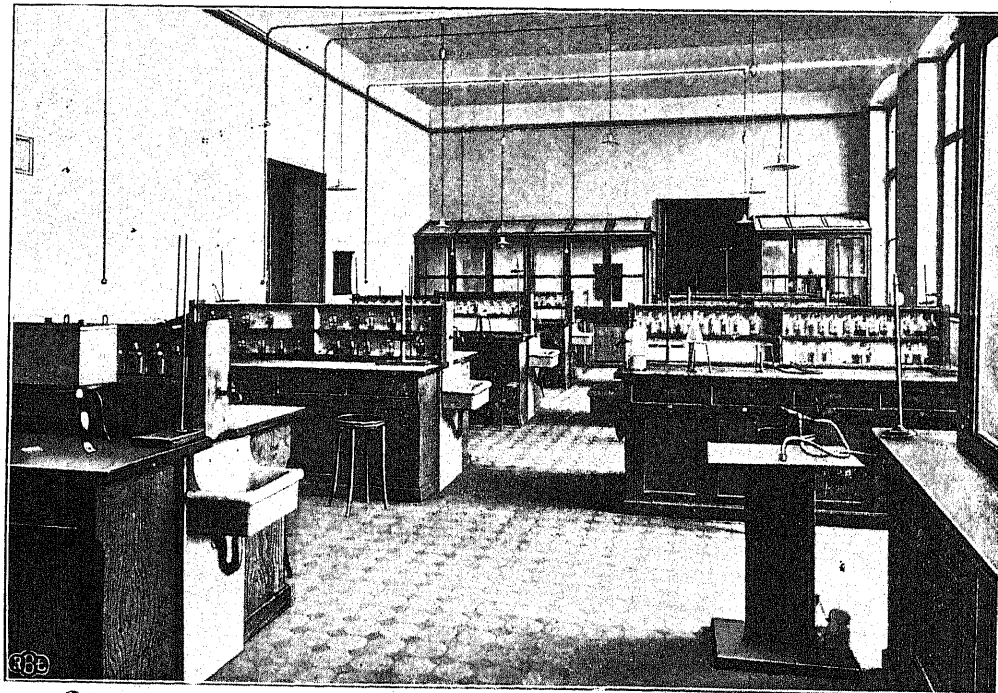
Gmach główny szkoły.



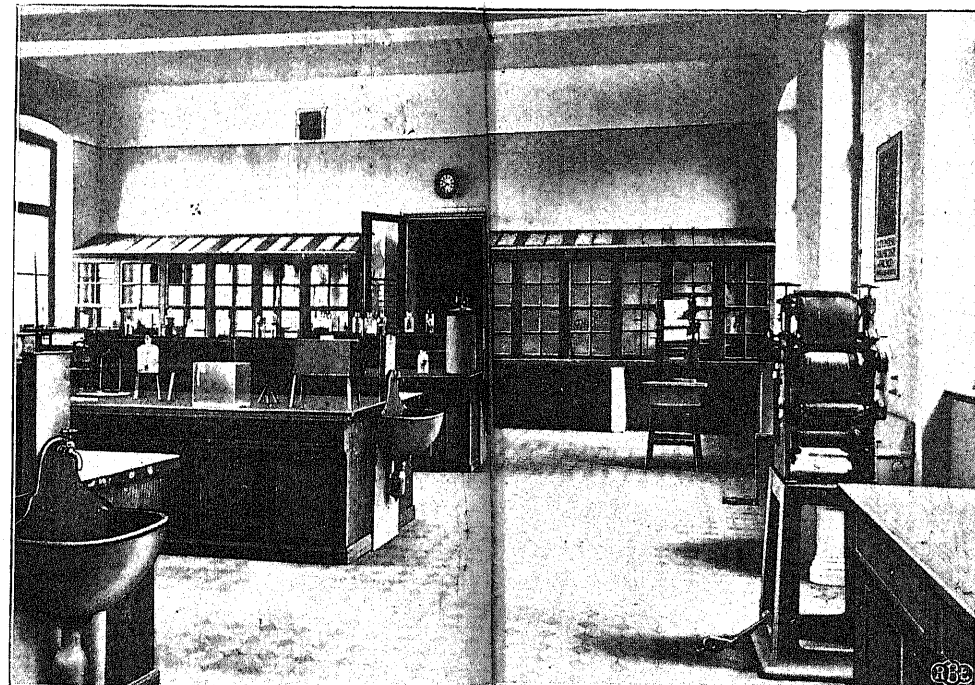
Pawilon włókienniczy.



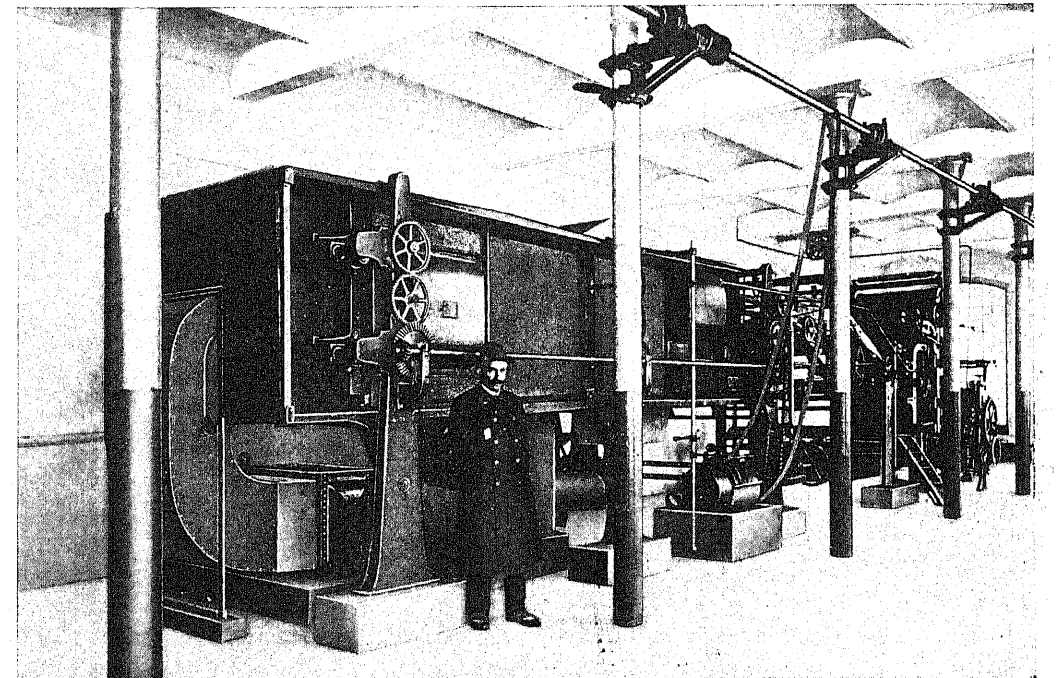
Pawilon mechaniczny.



Laboratorium analityczne.



Laboratorium farbiarsko-wykończalnicze.



Suszarnia.

Dwa czynniki składają się na dobrobyt każdego narodu: przyrodzone bogactwa i korzystne położenie geograficzne danego kraju — to jeden; mózgi i ręce obywateli — to drugi.

Ekonomista, któremu kazałoby określić, który z tych czynników jest ważniejszy, bez wahania odrzekłby, że drugi. Obydwa jednak czynniki te dobrobytu w krajach kulturalnych działają równolegle. Takie lub inne bogactwa przyrodzone w każdym znajdują się kraju, a wymiana wszechświa-

towa łatwo uzupełnia braki; byleby tylko dany naród miał dobrą wolę do pracy, byleby tylko z pokolenia na pokolenie pogłębiał i rozszerzał zakres swej wiedzy zawodowej i wiedzy teoretycznej, bez której nie może się rozwijać wiedza zawodowa — może być pewnym, że coraz większy dobrobyt będzie jego udziałem.

Niestety, dotychczas średni personel techniczny (mistrzowie fabryczni) w przemyśle włókienniczym składa się przeważnie bądź z miernot zawodowych, sprowadza-

nych z zagranicy, bądź też z miejscowych majstrów-praktyków, którzy osiągnęli swe stanowiska dzięki długoletniej pracy, poczynając od robotników; są to jednak ludzie często niezupełnie piśmienni, a zawsze bardzo konserwatywni; z takimi pracownikami obniżenie kosztów wytwórczości w kierunku lepszego wykorzystania pracy ludzkiej i maszyn jest nie do pomyślenia.

Aby uchronić przemysł włókienniczy w chwili jego rozwoju od braku odpowiednich sił zawodowych, powołano do życia w

1919 roku Państwową Szkołę Włókienniczą w Łodzi, której zadaniem jest kształcenie średnich sił technicznych dla tej gałęzi przemysłu krajowego.

Państwowa Szkoła Włókiennicza rozwija się niezwykle pomyślnie i zdołała pozyskać na nauczycieli wybitnych zawodowców.

O rozwoju Szkoły świadczy przede wszystkim wzrastająca frekwencja uczniów których liczba od 1919 roku stale się powiększa. Tak oto w roku szkolnym 1919/20

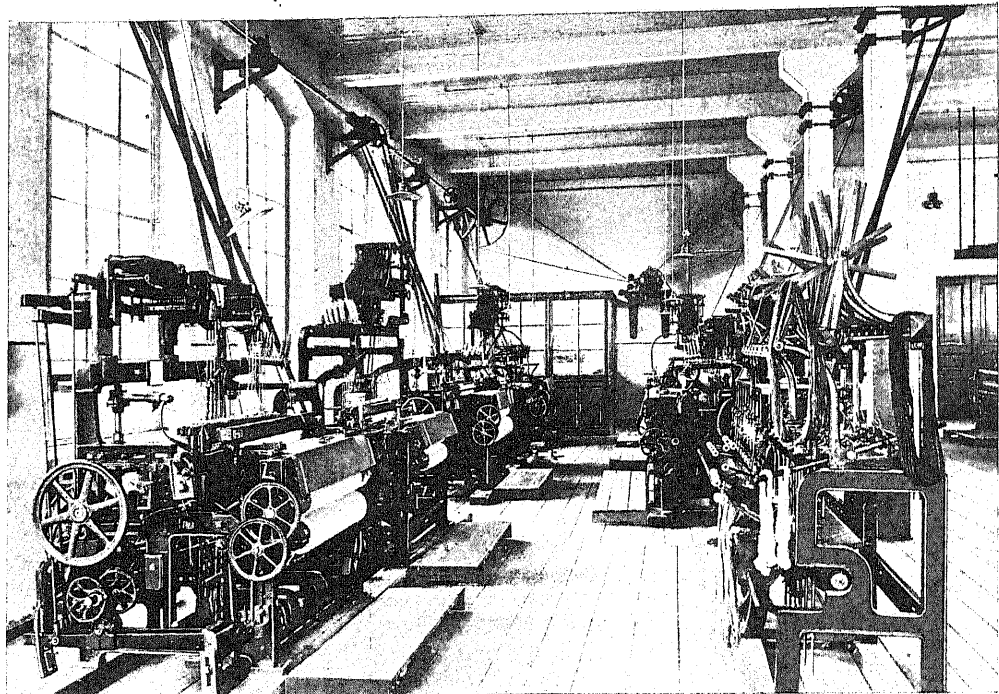
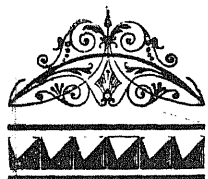
przyjęto 56 uczniów, uczęszczało ogółem 50, promowano 39; a w dniu 1 lutego 1926 roku było 316 uczniów, uczęszczało ogółem 304 uczniów, promowano 211.

W roku szkolnym 1921/22 ukończyło szkołę 20 uczniów, a w roku szkolnym 1925/26 ukończyło szkołę 30 uczniów bez wydziału mechanicznego, na którym od dnia 1 września 1925 roku nauka trwa 4 lata.

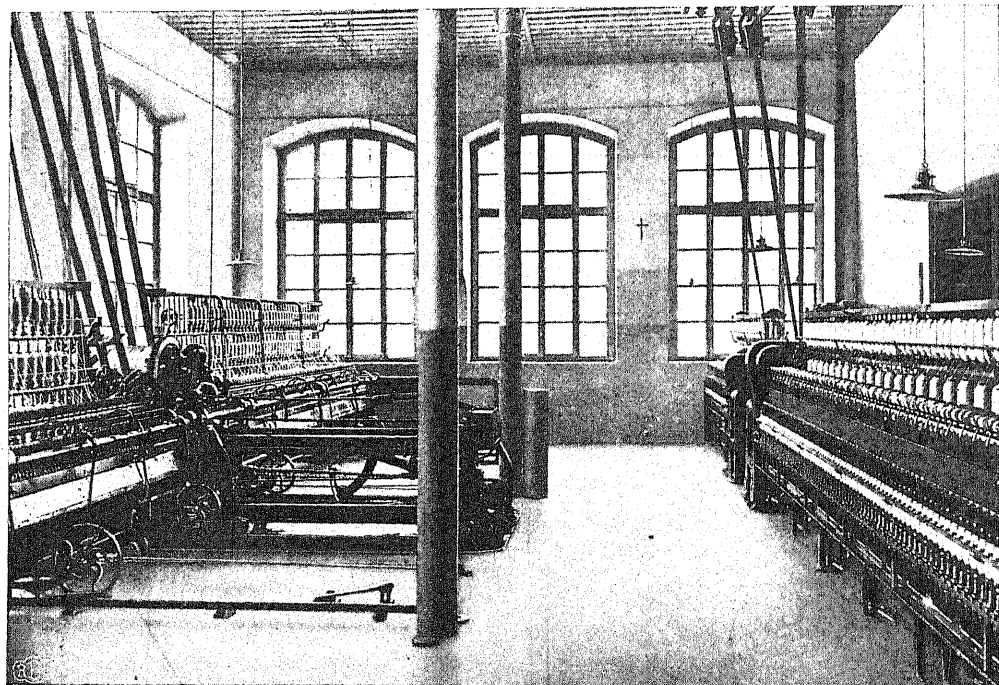
O widokach pomyślnego rozwoju Szkoły Włókienniczej na przyszłość świadczyć może intensywna jej rozbudowa, na którą

w krótkim stosunkowo czasie urządzać Państwo nie szczędzi bardzo poważnych kosztów. Urządzona będzie przędzalnia wełny zgrzebnej.

Pomimo trudnych dla rozwoju szkoły warunków finansowych Państwa, zdołano utworzyć fizyczne, elektrotechniczne, chemiczne i farbiarskie, przędzalnię bawełny o skróconym zespole maszyn dla średnich numerów przędzy, tkalnię ręczną i mechaniczną, bielarnię, farbiarnię i suszarnię bawełny luźnej, przędzy i tkanin bawełnia-



Sala maszyn tkackich.



Sala maszyn przędzalniczych

nych, warsztat mechaniczny do obróbki metali i drzewa, wreszcie „Zakład badania surowców i wyrobów włókienniczych oraz innych materiałów przemysłowych“.

Terytorjum, należące do Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, na którym znajduje się Państwowa Szkoła Włókiennicza, liczy 2 hektary 5516 mtr. kw. czyli 76,900 łokci kw. powierzchni miary nowopolskiej i posiada następujące budynki.

a) **Gmach główny frontowy** z dwoma skrzydłami, dwupiętrowy z przedłużeniem parterowym lewego skrzydła, przeznaczony na sale wykładowe, rysunkowe, laboratoria, muzea towaroznawcze i wydzielone, biblioteki, czytelnia, sale rekreacyjne i gimnasty-

czne, biura szkolne, wreszcie na „Zakład psychotechniczny“ i „Zakład badania surowców i wyrobów włókienniczych oraz innych materiałów przemysłowych“ i in.

b) **Pawilon włókienniczy**, mieszczący kotłownię, komin, silnik, stację transformatorów prądu elektrycznego zmiennego o wysokim napięciu (3000 volt), na prąd niski (120 volt), przędzalnię bawełny, tkalnię ręczną i mechaniczną, bielarnię, farbiarnię i wykończalnię wyrobów bawełnianych oraz chwiłowo, warsztat mechaniczny.

c) **Pawilon mechaniczny**, mieszczący stolarnię, modelarnię, forniernię, odlewnię, oczyszczalnię, kuźnię, hartownię, halę obrabiarek, biura techniczne, laboratorium mechaniczne i t. p.

d) **2 domy mieszkalne** dla personelu szkolnego.

e) **2 budynki gospodarcze.**

f) **Odźwiernię** parterową w frontie gmachu głównego.

Cała nieruchomość Państwowej Szkoły Włókienniczej jest skanalizowana, posiada studnię głęboko-wierconą z pompą parową Worthingtona i z pompą transmisyjną o napędzie elektrycznym lub gazowym, 3 wieże ciśnieniowe o pojemności ogólnej 27,8 metrów sześciennych wody, kompletną instalację wodociągową i oświetlenia elektrycznego.

Szkoła posiada także zakład badania surowców i wyrobów włókienniczych oraz innych materiałów przemysłowych.

LÉON FRAPIÉ.

Pytanie.

Pan Audot, inspektor szkół powszechnych, został przeniesiony do innego okręgu i złożył wizytę swemu nowemu prefektowi.

Przypadek chciał, że poznał w nim swego kolegę z uniwersytetu. Wobec tego oficjalność wizyty ustąpiła miejsca przyjacielskiej pogawędce.

Mówiąc o personelu szkolnym, traktowali go nie jak zwierzchnicy, lecz jak ludzie, nie z punktu widzenia ścisłej pedagogii, lecz nieograniczonej solidności ludzkiej.

Oczywiście określali też nauczycielki: jedne dobre, inne doskonałe, jedne wiejskiego, inne miejskiego pochodzenia, nauczycielki z ludu wyszłe, nauczycielki - mieszczanki, mało wykształcone i posiadające liczne dyplomy.

Wyznali sobie w cztery oczy te prawdy, których szeroki ogół nie powinien znać, o których nawet zainteresowani nie wiedzą — te tajemnice kierowników, które bezwzględnie należy zachować. Naprzykład, że dobroć nauczycielki nie zależy od wiedzy fachowej, lecz od serca: kobieta, która kocha dzieci, jest, bez przygotowania szkolnego, najbliższa ideału. Ale o tem mówić nie wolno! Jakżeby zebrać i rozmieszczać personel, nie mając klucza cenzusów naukowych?

W pewnej chwili prefekt, wysoki, chudy mężczyzna o wyglądzie oficera kawalerji. z siwymi włosami, wstał z fotelu i oparłszy się o kominiek powiedział:

— Posłuchaj, Audot, przypuszczam, że cię zadziwię: w powierzonym ci okręgu jest jedna nauczycielka, przezemnie mianowana, która przybyła z Paryża z domu rozpusty!

— Co? — krzyknął inspektor, mały, siwiejący człowieczek o wyglądzie nieprzekupnego rejenta.

Prefekt ciągnął dalej spokojnie:

— Wyobraź sobie, że młoda dziewczyna, wychowana w dobrobycie, mądra, wykształcona, znajduje się w ciągu kilku dni na bruku, pozbawiona rodziny, środków do życia i dachu nad głową. Błądząca, zgłodniała i bezradną oplatają swą siecią wielkomięjska kuplerka, i oto dziewczyna zostaje zdana na jej łaskę, a strzeżona jest tak pilnie, że niema nawet możliwości uniknąć hańby przez samobójstwo. Na szczęście udało się Towarzystwu Ochrony dotrzeć do ofiary i uwolnić ją z matni. Przekonano się, że dusza jej pozostała czysta i nieskalana i zaproponowano mi ją jako nauczycielkę. I oto od pięciu lat ta niewiasta jest przedmiotem entuzjastycznych pochwał.

— To mnie nie dziwi — zauważył nieco podejrzliwie inspektor. — Jednakże...

— Jednakże — przerwał mu prefekt — wkrótce po zajęciu pierwszej posady musiałem ją przemieścić. Mianowałem ją bowiem do szkoły dzieci zbyt biednych...

— Więc co? — spytał inspektor z pogodliwym uśmiechem.

Mary Philbin.



Znakomita amerykańska artystka filmowa coraz bardziej traci swą bezkonkurencyjność, wypierana przez młodsze gwiazdy ekranu.

— Więc, mój drogi, dziewczyna ta nie nie jadła. Rozumiesz? Ta, która nie umarła z głodu na ulicy Paryża, byłaby umarła z zaparcia się siebie w szkółce dzieci nędzarzy.

— Musi to być wyjątkowa niewiasta.

— Mylisz się, mój drogi. Powierzchność jej jest przeciętna. Zresztą, będziesz wizytował okręg, około dwustu szkół — pewien jestem, że nie poznasz mojej nawróconej grzesznicy po zewnętrznych cechach.

— Drogi-prefekcie, mam dwadzieścia lat praktyki za sobą i pewną intuicję zawodową. Poznam ją, poznam ją wśród tysięcy, a uczynię to bez żadnych wywiadów, nie przyglądając się nawet jej samej.

Prefekt uśmiechnął się z pewnym niedowierzającym podziwem.

— Odnajdziesz ją, pytając dzieci? Uczniowie ją zdradzą, sądzisz? To trudny sposób, tak trudny, że trzymam zakład. Jeśli za pół roku, gdy wrócisz z inspekcji, wymienisz mi jej nazwisko, będą wiedziały, którego inspektora uważać za najzdolniejszego i podać do Legji Honorowej.

Inspektor udał się na objazd okręgu. Zwiedzał wszystkie szkoły, mocno zdecydowany odpowiedzieć zwycięsko na pytanie prefekta. Po za miłością własną i czysto męski czynnik grał tu rolę. Pragnął zdobyć tajemnicę prefekta, wytworzyć między sobą a zwierzchnikiem tajemne porozumienie...

W każdej klasie mało wdawał się w rozmowy z nauczycielką, natomiast pilnie badał dzieci, które — prawem niezrozumiałym — są odbiciem najwzierniejszym nauczycielki, jej ruchów, tonów i... serca.

Egzaminował dzieci podług programu, lecz starał się przeniknąć do ich umysłów. Między innymi pytaniami stawiał jedno — wszędzie to samo, zreszczeniem wymyślone — któremu przypisywał siłę rewelacyjną:

— Wymień, jaką znasz kobietę najbardziej godną uznania?

Czekał na odpowiedź, fascynując wzrokiem dzieci, starając się uchwycić znamieny wyraz twarzy, zdradzieckie słowo...

„Ale wszędzie twarze i umysły układały się odpowiednio dla inspektora, wszędzie odpowiedź była owocem szkolnej pracy:

— Joanna d'Arc, Jeanne Hachette... Czasami, oryginalniej: Marja Medycejska, Karolina Corday.

Szkoła w Chabois była wyjątkowo biedna.

Inspektor zauważył, że działy zachowywały się inaczej, niż w innych szkołach. Każde dziecko myślało samodzielnie, odpowiedź jednego nie wpływała na inne.

Inspektor przebiegł wzrokiem klasę i dzięki doświadczeniu, nabytemu dwudziestoletnią pracą, poznawał dzieci o wybitniejszym intelekcie, dzieci, stanowiące przyboczny orszak i odbicie nauczycielki.

— Powiedz mi, dziewczynko — tak, ta w niebieskiej sukience — jaką znasz kobietę najbardziej godną uznania? Cóż, nic nie masz do powiedzenia?

Mała o poważnej twarzyczce i spojrzeniu, mówiąc: „A cóż to ciebie może ciebie obchodzić?“ odparła spokojnie i z prostotą:

— Znam, panie inspektorze — moją matkę....

Inspektor zamyślił się. To już coś, ale chyba jeszcze nie to. Może „nieznajoma“ była tutaj czas jakiś.

— Jak dawno uczy pani w tej szkole? — spytał nauczycielki.

— Od pół roku. Ta, która była przedemną...

— Dziękuję pani, to mnie już nie obchodzi.

Gdy pan inspektor wszedł do szkoły w Pluceux, natychmiast poczuł pewne podobieństwo nastroju ze szkołą w Chabois.

Dzieci były mniej nędzne, ale twarzyczki ich, tak jak i w Chabois, a nawet bardziej jeszcze, wyrażały indywidualność i obecność myśli.

Na słynne pytanie wiele dzieci odmówiło odpowiedzi, ale widać było, że nie czynią tego z nieświadomości — wiedzą, tylko nie chcą powiedzieć.

Wysłuchawszy kilku nieumiknionych Jeanne d'Arc inspektor zagadnął dziesięcioletnią dziewczynkę w żałobie:

— Wymień, malutka, kobietę najbardziej godną uznania.

Dziewczynka spojrzała na niego wielkimi oczami z ledwo dostrzegalnym zdziwieniem i wyrzutem.

— Nie chcesz odpowiedzieć?

— Nie chce — skinęło dziecko główką.

A inspektorowi wydawało się, że jasna i smutna twarzyczka dziecka mówi:

— Żeby ci odpowiedzieć, musiałabym odkryć moje „ja“, które należy tylko do mnie, wszelkie prawa inspektorskie nie mają mocy wobec mego „ja“ — cokolwiek ono myśli lub czyni — nie możesz wiedzieć ani sądzić.

Podczas gdy nauczycielka pisała zadanie na tablicy, inspektor dowiadywał się u innego dziecka:

— Twoja koleżanka, którą teraz pytałem, to sierota?

— Nie ma już matki w domu, proszę pana, ale mimo to ma ona mamusię.

— Jakże to?

Milczenie i znów ten wyraz twarzy, mówiący:

— Hola, panie inspektorze, nie chodź dalej, każde z nas ma prawo do swych myśli.

Dzięki temu „zakazowi dowiedzenia się“ inspektor odjechał uświadomiony. Sierot-

ka miała matkę w szkole. Nauczycielka była najbardziej godną uznania kobietą dla sierotki. I w tej szkole orszak nauczycielki przeczuł intuicyjnie, że istnieje swoje „ja“ którego tykać nie wolno.

A nauczycielka nie różniła się istotnie od wszystkich innych nauczycielek...

— Pan inspektor wrócił do prefektury.

Prefekt, chcący z kolei egzaminować — spytał go żartobliwie:

— I cóż? Promocję Legji trzymam w zawieszeniu. Kto jest moją doskonałą nauczycielką? Czegoś się dowiedział?

Pan inspektor dowiedział się wielu rzeczy podczas swego objazdu. Najważniejszą była niewątpliwie „solidarność milczenia“, nauczona przez małą sierotkę o poważnej twarzyczce, gdyż inspektor przybrał ten sam wyraz twarzy, pogodny, a niezbadany, i cicho odparł:

— Nie mam nic do powiedzenia, panie prefekcie.

Tłum. Ir.

M. Flory,



Słynna artystka Komedii Francuskiej została przez jury uznana za pierwszą piękność Francji.



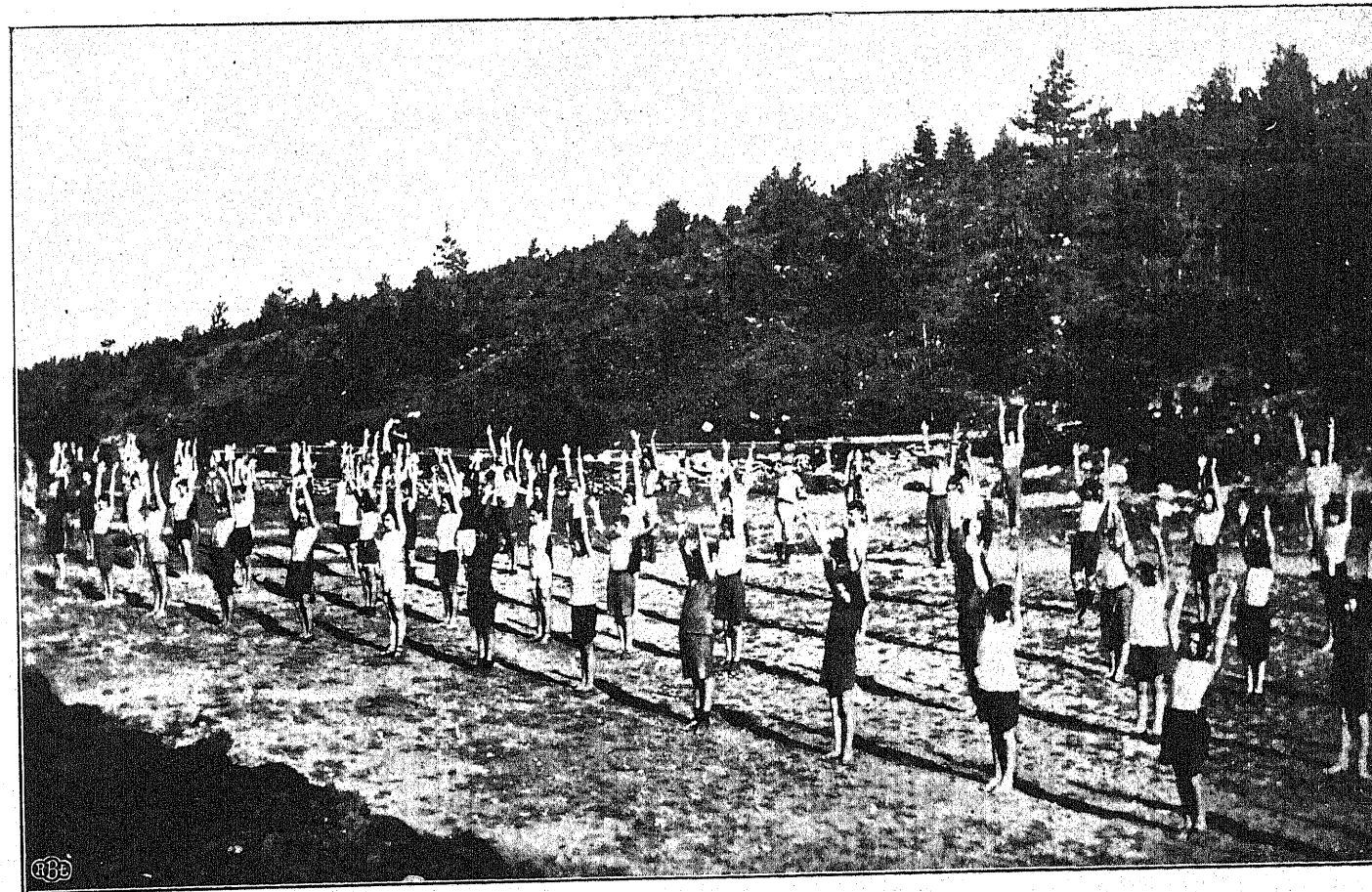
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok III.

ŁÓDŹ, dnia 26 września 1926 roku.

Nr. 39.

W kuźni zdrowia i siły fizycznej.



Ranna gimnastyka w obozie letnim Y, M. C. A. dla chłopców w Mszanie Dolnej.